

Człowiek z blizną



ARTHUR CONAN DOYLE

Człowiek z blizną

TŁUM. NIEZNANY

Izaak Whitney, brat śp. doktora teologii i rektora seminarium duchownego w St. George, Eliasza Whitney, był namiętym palaczem opium. O ile wiem, w ten szkaradny nałóg popadł jeszcze w czasach szkolnych, przez głupią a właściwą młodemu wiekowi skłonność do naśladownictwa. Przeczytał gdzieś opis wrażeń doznawanych przez palaczy — znany utwór pióra Quinceya¹ — i nasycił swój tytoń nalewką z opium², chcąc doświadczyć tych samych rozkosznych snów. Ale z tym jego przyzwyczajeniem stało się tak, jak z wieloma nałogami nabytymi w młodości: przekonał się, że łatwiej do nich przywyknąć niż się ich pozbyć. Pozostał więc przez długie lata niewolnikiem strasznej trucizny, a dla swych przyjaciół i znajomych przedmiotem odrazy lub współczucia. Jeszcze teraz, ile razy o nim myślę, staje mi przed oczyma jego pomarszczona, pożółkła twarz, z opadającymi powiekami i żrenicami pomniejszonymi do wielkości łebka od szpilki — smutna ruina szlachetnego niegdyś i energicznego człowieka.

Pewnego wieczora — a było to w czerwcu roku 1889 — mniej więcej o tej porze, kiedy człowiek zaczyna już ziewać, spoglądając na zegarek i tęskniąc za łóżkiem, ktoś nagle pociągnął za dzwonek przy moich drzwiach. Zerwałem się z fotela, a żona moja odłożyła robótkę na kolana i wyglądała na nieco rozczarowaną.

— Pacjent — powiedziała. — Będziesz musiał iść.

Westchnąłem, bo właśnie wróciłem z ciężkiej całodzienniej pracy.

Dobiegł nas odgłos otwieranych i zamykanych drzwi na dole, potem słychać było skrzypienie schodów, wreszcie szybkie kroki po linoleum w korytarzu. Ktoś energicznie otworzył drzwi i w progu ukazała się jakaś dama, ciemno ubrana i w czarnej woalce.

— Wybaczcie państwo tak późną wizytę... — zaczęła i wybuchnąwszy nagle nerwowym płaczem, rzuciła się mojej żonie na szyję, łkając głośno. — Ach, jestem w okropnym położeniu! — zawołała. — I natychmiast potrzebuję pomocy!

— Ależ to Kate Whitney! — rzekła moja żona, odchylając jej woalkę. — Jakżeś mnie wystraszyła, Kate! Kiedy tu weszłaś, nie miałam pojęcia, że to ty!

— O, nie wiedziałam, co robić, więc przybiegłam do ciebie!

Tak to już zwykle bywało. Każdy, kto był w potrzebie, przychodził do mojej żony po pomoc, jak zbłąkane na morzu ptaki lecą do latarni morskiej.

— Bardzo dobrze zrobiłaś, że przyszłaś. Ale wypij no teraz szklankę wina z wodą i rozsiądź się wygodnie. To cię uspokoi. Tak. A teraz opowiedz nam wszystko. Ale wolisz może, żebym odesłała Jamesa na spoczynek?

— O nie, nie! Potrzebuję także i pańskiej rady i pomocy, doktorze! Chodzi o mojego męża. Od dwóch dni nie ma go w domu. Tak bardzo się o niego boję!

Nie pierwszy to raz mówiła z nami o ustawicznym kłopotcie i zmartwieniach, jakich przysparzał jej mąż — ze mną jako z lekarzem, a z moją żoną jako starą przyjaciółką i powierniczką jeszcze z czasów szkolnych. Uspokajaliśmy ją i pocieszali, jak mogliśmy. Zapytałem, czy się domyśla przynajmniej, gdzie się mąż teraz podziewa, i czy moglibyśmy jej pomóc, sprowadzając go do domu.

¹Quincey, Thomas de (1785–1859) — angielski pisarz, eseista; zasłynął dziełem *Wyznania angielskiego opiumisty*. [przypis edytorski]

²opium — wysuszony sok makówek, szeroko stosowany w XIX w. jako substancja przeciwbólowa, uspokajająca i odurzająca. [przypis edytorski]

Okazało się, że jest to całkiem możliwe. Dowiedziała się, nie wiem jak, że ostatnio ile razy napadał go nieprzemyślany pociąg do opium, udawał się do jakiejś opiumowej nory w najodleglejszej, wschodniej części miasta.

Dotychczas te jego orgie ograniczały się do jednego dnia, po czym wieczorem wyczerpany i rozbity wracał do domu. Ale tym razem jego nieobecność przeciągnęła się do czterdziestu ośmiu godzin i w tej chwili leżał pewnie w tej speluncie między różnymi wyrzutkami społeczeństwa i pijanymi marynarzami, przesypiając skutki strasznej trucizny. Tam go można było znaleźć, była tego pewna, w „Złotej Szynkowni” przy Upper Swandam Lane³. Ale co miała zrobić? Młoda, lękliwa kobieta nie może przecież wejść do takiego miejsca i wyrwać swego męża z rąk hulastry, która się tam zbiera.

Tak wyglądała sprawa i w istocie było tylko jedno wyjście. Czy nie mógłbym jej tam towarzyszyć? Albo może lepiej, jeśli sam pójdę? Jestem przecież doradcą medycznym jej męża i jako taki mam na niego pewien wpływ. Łatwiej mi będzie poradzić sobie bez niej.

Dałem jej słowo, że w ciągu dwóch godzin odeślę go dorożką do domu, jeśli go rzeczywiście zastanę we wskazanym miejscu. W dziesięć minut później byłem już daleko od wygodnego fotelu i przytulnego pokoju, jadąc dorożką na wschód w nietypowej, jak mi się wydawało, sprawie, która dopiero potem okazała się jeszcze dziwniejsza.

Pierwsza część mojej wyprawy obyla się bez trudności. Upper Swandam Lane to paskudny zaułek, ciągnący się za wysokimi nabrzeżami na północnym brzegu Tamizy, na wschód od London Bridge⁴. Między budą tandeciarza a wstrętnym szynkiem znalazłem wreszcie poszukiwaną, ciemną jak piwnica spelunkę, do której wiodły spadziste brudne schody. Kazałem woźnicy czekać, a sam zszedłem na dół. Nogi pijaków, snujących się tu nieustannie, zostawiły na stopniach głębokie ślady. Przy migotliwym świetle lampy olejnej znalazłem klamkę i wszedłem do długiej, niskiej izby. Była pełna brunatnego dymu opium i zastawiona drewnianymi tapczanami jak dziób statku dla emigrantów.

W półmroku i dymie ledwie mogłem odróżnić kształty osób, które leżały wokół w fantazyjnych pozach — ze ściśniętymi ramionami, wykrzywionymi kolanami, z odrzuconą głową lub z zadartą do góry brodą. Tu i ówdzie zwróciło się ku mnie ciemne, matowe oko. W ciemności migotały małe, czerwone kręgi światła, to jaśniejąc, to przygasając, gdy paląca się trucizna rozżarzała się i przygaszała w metalowych fajkach. Większość osób leżała w milczeniu, niektórzy mruczełi do siebie, inni znów rozmawiali cichym, monotonnym głosem, z wysiłkiem wyrzucając z siebie zdania i zapadając potem nagle w milczenie. Każdy snuł własną myśl, niewiele zwracając uwagi na słowa sąsiada. Na drugim końcu pokoju stał mały koksownik z płonącymi węglami. Obok na trójnogim zydłu⁵ siedział wysoki, chudy starzec. Brodę wsparł na pięściach, łokcie oparł na kolanach i wpatrywał się nieruchomo w żar.

Gdy wszedłem, przyskoczył do mnie ciemnoskóry Malaj⁶ z fajką i porcją opium, wskazując mi pusty tapczan.

— Dziękuję — rzekłem — ale nie zamierzam tu zostać. Jest tu mój przyjaciel, pan Izaak Whitney, i chciałbym z nim pomówić.

Coś poruszyło się po prawej stronie. Dosłyszałem słaby głos. Spojrzałem w tym kierunku i wśród dymu ujrzałem Whitneya. Siedział tam błady i dziki, ze zwichrzonymi włosami, i patrzył na mnie.

— Boże — wyszeptał — to Watson.

Był w stanie straszliwego rozstroju po zażyciu trucizny. Każdy nerw w nim drgał.

— Która godzina?

— Prawie jedenasta.

— A który dzień?

— Piątek, dziewiętnastego czerwca.

³Upper Swandam Lane — fikcyjna uliczka w Londynie wzorowana na realnie istniejącej uliczce Swan Lane, w pobliżu Mostu Londyńskiego (London Bridge). [przypis edytorski]

⁴London Bridge, pol. Most Londyński — most na Tamizie, łączący centrum dawnego Londynu (City) z przyległą dzielnicą Southwark; tu: tzw. Nowy Most Londyński (1831–1967), zbudowany w miejscu poprzedniej konstrukcji. [przypis edytorski]

⁵zydel — prosty drewniany stółek. [przypis edytorski]

⁶Malaj — członek ludu zamieszkującego Płw. Malajski oraz część Archipelagu Malajskiego; w XIX–XX w. Płw. Malajski i płn. część Borneo stanowiły brytyjskie posiadłości kolonialne. [przypis edytorski]

— Wielki Boże! Myślałem, że dziś środa. Nie, dzisiaj *jest* środa. Jak pan może tak mnie straszyć?

Zakrył twarz rękami i zaczął głośno szlochać.

— Ależ zapewniam pana, że dziś jest rzeczywiście piątek, nieszczęsny człowieku. Pańska żona już dwa dni czeka na pana. Powinien się pan wstydzić sam przed sobą.

— Toteż się wstydzę. Ale myli się pan, panie Watson, bo jestem tu dopiero od kilku godzin. Wypaliłem zaledwie trzy czy cztery fajki, zresztą, nie wiem dokładnie ile. Dobrze, udam się z panem do domu, bo nie chcę niepokoić mojej biednej, kochanej Kate. Daj mi pan rękę! Ma pan dorożkę?

— Tak, czeka na zewnątrz.

— Dobrze, skorzystam z niej. Ale muszę być tu coś jeszcze winien. Niech się pan tym zajmie, panie Watson. Jestem zupełnie oszołomiony i sam nie dam sobie rady.

Szedłem wąskim przejściem wzdłuż podwójnego szeregu śpiących, szukając gospodarza. Wstrzymywałem oddech, aby nie ulec wpływowi wstrętnych, odurzających wyziewów trucizny. Kiedy przechodziłem koło chudej postaci siedzącej przed koksownikiem, poczułem, że ktoś nagle pociągnął mnie za połę surduta i jakiś cichy głos szepnął: „Przejdź koło mnie, a potem się obejrzyj”. Słowa te słyszałem zupełnie wyraźnie. Obejrzałem się. Mogły one pochodzić tylko od tego starca, ale on siedział jak poprzednio, bezprzytomnie, z osłupiałym wzrokiem, zgięty ze starości. Jego fajka opiumowa zwisała mu między kolanami, jakby wyslizgnęła mu się z sennych palców. Odszedłem jeszcze dwa kroki i obejrzałem się. Musiałem jednak użyć całej swej zdolności panowania nad sobą, żeby nie krzyknąć wtedy ze zdumienia. Mężczyzna obrócił się tak, że nikt prócz mnie nie mógł go widzieć. Jego sylwetka stała się prosta i krzepka, znikły zmarszczki, zagasłe oczy błysnęły ogniem — słowem, człowiekiem, który siedział przy ogniu, bawiąc się moim zdumieniem, był nie kto inny, tylko Sherlock Holmes. Dał mi dyskretny znak, abym się do niego zbliżył, a kiedy obrócił twarz w stronę leżących, natychmiast znów zmienił się w sennego starca.

— Holmesie — szepnąłem — co robisz w tej speluncie?

— Mów tak cicho, jak tylko możesz — rzekł — mam doskonały słuch. Gdybyś był tak dobry i pozbył się tego swojego odurzonego przyjaciela, to z przyjemnością bym trochę z tobą porozmawiał.

— Dorożka na mnie czeka.

— To odeślij go do domu. Nie ma w tym nic niebezpiecznego, bo jest zbyt śpiący i osłabiony, żeby się puszczać na nowe szaleństwa. Dobrze byłoby też, gdybyś przekazał przez woźnicę swojej żonie parę słów o tym, że mnie spotkałeś i mamy razem coś do załatwienia. Poczekaj na mnie na zewnątrz, będę za pięć minut.

Odmówić czegoś Holmesowi było rzeczą nadzwyczaj trudną, bo prosił zawsze z największym spokojem i stanowczością. Poza tym uważałem, że gdy tylko Whitney znajdzie się w dorożce, skończy się moje zobowiązanie wobec niego. Nie miałem gorętszego pragnienia, niż żeby móc znowu wziąć udział z moim przyjacielem w jednej z tych niezwykłych przygód, które dla niego były codzienną treścią życia. W kilka minut napisałem kartkę do żony, zapłaciłem za Whitneya, wsadziłem go do dorożki i odesłałem do domu w mrokach nocy.

Wkrótce potem z palarni opium wyszła sterana postać i obok siebie ujrzałem Sherlocka Holmesa. Przez dwie przecznice włókł się ciężko, z pochylonym grzbietem, stawiając niepewne kroki. Potem rozejrzał się dookoła, wyprostował się i wybuchnął wesołym śmiechem.

— A teraz, Watsonie, zapewne wyobrażasz sobie, że do wstrzykiwania kokainy i innych tego rodzaju słabostek, co do których zaszczyciłeś mnie swoimi medycznymi poglądami, dodałem jeszcze palenie opium.

— Owszem, byłem zaskoczony, zobaczywszy cię w tym miejscu.

— Nie mniej niż ja, widząc ciebie...

— Szukałem przyjaciela.

— A ja wroga.

— Wroga?

— Tak, jednego z moich przyrodzonych wrogów, albo mówiąc właściwiej: szukałem tu swej przyrodzonej zdobyczy. Słowem, chodzi mi właśnie o pewną nadzwyczajną historię. Spodziewałem się, że jak niejedną raz wcześniej, tak i teraz potrafię w bezmyślnej

Przebranie

paplaninie tych hultajów odnaleźć klucz do dręczącej mnie zagadki. Gdyby mnie w tej norze rozpoznano, przypłaciłbym to życiem, bo już nieraz korzystałem z niej dla swoich celów i Malaj, zbir i łotr spod ciemnej gwiazdy, poprzysiągł mi zemstę. Na tyłach budynku, w pobliżu Paul's Wharf⁷, znajdują się tajne drzwi, które mogłyby opowiedzieć straszliwe historie o tym, co wyrzucano tam w ciemne bezksiężycowe noce.

— Jak to? Nie myślisz chyba, że trupy?...

— Tak, Watsonie, trupy. Bylibyśmy bogaci, gdybyśmy dostali po tysiąc funtów za każdego biedaka, którego tu uciszono na wieki. To najstraszliwsza mordercza pułapka na całym brzegu rzeki. Obawiam się, że tu właśnie wciągnięto Neville'a St. Claira, aby go już więcej nie wypuścić.

Tu Holmes włożył oba palce wskazujące między zęby i przenikliwie gwizdnął. Z oddali odpowiedział na to podobny gwizd, po czym rozległo się turkotanie kół i tętent konia.

Z ciemności wynurzył się wielki powóz myśliwski z zapalonymi latarniami, które rzucały dwa długie, złote pasma światła.

— A więc jak, Watsonie? Jedziesz ze mną?

— Chętnie, jeśli mogę ci się na coś przydać.

— Wierny przyjaciel zawsze się może przydać, zwłaszcza jeśli jest zarazem człowiekiem pióra. Mój pokój „Pod Cedrami” ma dwa łóżka.

— „Pod Cedrami”?

— Tak, tak się nazywa dom St. Claira, gdzie zamieszkałem na czas poszukiwań.

— Gdzie to jest?

— Niedaleko Lee⁸, w Kent⁹. Mamy przed sobą siedmiomilową¹⁰ podróż.

— Ależ ja o niczym nie wiem!

— Zaraz się dowiesz. Siadaj. Johnie, nie będziecie nam już potrzebni. Proszę, to dla was pół korony¹¹. Czekać na mnie jutro koło jedenastej. Ruszamy. Do zobaczenia!

Zaciął lekko konia i pojechaliśmy szybko przez nieskończone, ciemne i puste ulice aż do szerokiego mostu, pod którym toczyła się mulista rzeka. Po drugiej stronie rozciągało się to samo morze domów. Wśród ciszy nocnej słychać było tylko miarowe kroki policjantów lub zapóźnionych przechodniów. Po niebie wlokła się ciemna masa obłoków i tylko gdzieś tam słabo przebłyskiwała gwiazda. Holmes powoził w milczeniu, z głową opuszczoną na piersi i z twarzą człowieka całkowicie zatopionego w myślach. Siedziałem obok niego, pałając ciekawością, jaka to nowa sprawa tak całkowicie go pochłania. Nie miałem jednak odwagi przerwać mu rozmyślań. Dopiero kiedyśmy ujechali kilka mil i otaczał nas wkoło pierścień podmiejskich willi, Holmes wyprostował się, wzruszył ramionami i zapalił fajkę z miną człowieka zadowolonego z siebie i pewnego, że zrobił wszystko, co było w jego mocy.

— Dano ci piękną cnotę milczenia, Watsonie — rzekł — co czyni cię nieocenionym towarzyszem. Na honor, to dla mnie ogromnie cenne mieć kogoś, przed kim mogę się wypowiedzieć, gdy moje myśli nie są zbyt przyjemne. Teraz rozmyślam o tym, co powiedzieć tej dobrej kobiecie, kiedy wyjdzie mi na spotkanie.

— Zapominasz, że przecież o niczym nie wiem.

— Mamy jeszcze dość czasu. Zanim przybędziemy na miejsce, opowiem ci wszystko ze szczegółami. Zdaje się, że wypadek jest śmiesznie prosty, a jednak nie wiem, jak się do niego zabrać. Nici w tym kłębku jest pod dostatkiem, ale nie mogę odnaleźć właściwego końca. Przedstawię ci sprawę jasno i zwięźle. Może ty trafisz na światło tam, gdzie dla mnie wszystko jest ciemne.

— A więc opowiadaj.

— Przed kilkoma laty, albo, mówiąc ściślej, w maju 1884 roku przyjechał do Lee pewien pan, nazwiskiem Neville St. Clair, sądząc ze wszystkich pozorów, bardzo zamożny. Zamieszkał w wielkiej willi, założył pełne wytwornego smaku ogrody i żył pod każdym

⁷Paul's Wharf — nabrzeżny obszar w centralnej części Londynu, pomiędzy Thames Street a rzeką Tamizą. [przypis edytorski]

⁸Lee — dawniej: miejscowość w angielskim hrabstwie Kent; ob. podmiejska dzielnica pld.-wsch. Londynu, ok. 10 km od centrum miasta. [przypis edytorski]

⁹Kent (ndm) — hrabstwo na pld.-wsch. skraju Anglii. [przypis edytorski]

¹⁰mila angielska — anglosaska miara odległości równa ok. 1,6 km. [przypis edytorski]

¹¹korona — dawna brytyjska jednostka monetarna równa 5 szylingom, tj. 60 pensom. [przypis edytorski]

względem na wysokiej stopie. Stopniowo zyskał w sąsiedztwie przyjaciół i w roku 1887 ożenił się z córką miejscowego piwowara, która później obdarzyła go dwojgiem dzieci. Nie miał określonego zajęcia, ale interesował się kilkoma przedsiębiorstwami. Codziennie rano udawał się do miasta, a o piątej po południu powracał pociągiem z Cannon Street¹². Pan St. Clair ma teraz lat trzydzieści siedem, jest człowiekiem poważnym, dobrym mężem, czułym ojcem, znajomi go lubią. Do tego mogę dodać, że obecnie jego dług, na ile udało się mi sprawdzić, wynoszą osiemdziesiąt osiem funtów i dziesięć szylingów, a gotówka w banku to dwieście dwadzieścia funtów. Nie ma najmniejszego powodu przypuszczać, że miał jakieś kłopoty finansowe.

W ostatni poniedziałek pan Neville St. Clair udał się do miasta wcześniej niż zwykle. Mówił, że ma do załatwienia dwa ważne interesy i że przywiezie synkowi pudełko drewnianych klocków. Tego samego dnia, wkrótce po odjeździe St. Claira, jego żona otrzymała telegraficzną wiadomość, że oczekiwaną przez nią przesyłkę znacznej wartości może odebrać w Towarzystwie Żeglugi Aberdeen. Jeśli znasz dobrze Londyn, to wiesz, że biura tego towarzystwa mieszczą się przy Fresno Street, która łączy się z Upper Swandam Lane, gdzie mnie dziś znalazłeś. Pani St. Clair zjadła drugie śniadanie, po czym udała się do miasta, zrobiła kilka sprawunków, wstąpiła do biura towarzystwa, odebrała przesyłkę i o czwartej trzydzieści pięć szła przez Swandam Lane w kierunku dworca. Rozumiesz mnie dotąd?

— Tak, to zupełnie jasne.

— Przypominasz sobie zapewne, że w poniedziałek było nadzwyczaj gorąco. Pani St. Clair szła powoli, oglądając się dokoła w nadziei, że ujrzy dorożkę. Kiedy tak szła wzdłuż Swandam Lane, usłyszała nagle krzyk i osłupiała z przerażenia. W oknie na drugim piętrze stał jej mąż, patrzył na nią i jakby przywoływał ją gestami. Okno było otwarte, więc wyraźnie widziała jego twarz, która, według opowiadania pani St. Clair, była straszliwie wzburzona. Machał do niej gwałtownie rękami, po czym znikł z okna tak nagle, że jak się zdaje, musiano go stamtąd oderwać przemocą. Mimo to udało jej się dostrzec, że choć mąż miał na sobie ten sam ciemny surdut, co przy wyjściu z domu, ale nie miał kołnierzyka¹³ ani krawata.

Przekonana, że panu St. Clair musiało się przytrafić coś złego, zbiegła po schodach — bo był to ten sam dom z jaskinią palaczy opium, w którym znalazłeś mnie dziś w nocy — wpadła do przedpokoju i chciała wejść na schody prowadzące na piętro. Ale tu zastąpił jej drogę Malaj, ów zbir, o którym już mówiłem, odepchnął ją i z pomocą Duńczyka, który pełni tam obowiązki pomocnika, wyrzucił na ulicę. Pani St. Clair, pełna szalonego przerażenia o męża, pobiegła ulicą i szczęśliwym trafem na Fresno Street spotkała kilku policjantów, którzy pod wodzą inspektora policji wrócili z nią na miejsce. Mimo zaciętego oporu właściciela domu policja wdarła się do pokoju, w którym pani St. Clair spostrzegła męża. Nie było po nim śladu. Tak, na całym piętrze nie było nikogo prócz nieszczęśliwego kaleki o odrażającym wyglądzie, który zdaje się tam mieszkał. Tak on, jak i gospodarz zaklinali się na wszystkie świętości, że przez całe popołudnie nikogo innego w tym pokoju nie było. Ich przysięgi zdawały się tak wiarygodne, że inspektor policji nabierał już przekonania, że pani St. Clair musiała się pomylić. Wtem z krzykiem podbiegła do leżącego na stole pudełka i gwałtownie zerwała pokrywkę. Z pudełka wysypały się dziecięce klocki. Była to zabawka, którą ojciec obiecał przywieźć synowi.

To odkrycie, jak również widoczne zmieszanie, jakie okazał kaleka, przekonały inspektora, że sprawa jest poważna. Przeszukano starannie wszystkie pokoje i wszystkie spostrzeżenia wskazywały, że doszło tu do straszliwej zbrodni. Frontowy pokój, umeblowany bardzo prosto, pełnił funkcję pokoju dziennego i prowadził do niewielkiej sypialni z widokiem na tyły nabrzeża. Między nabrzeżem a oknem pokoju sypialnego znajdowało się wąskie przejście, suche podczas odpływu, ale podczas przypływu pogrążone w wodzie głębokiej na co najmniej cztery i pół stopy. Okno było szerokie i odsuwane do góry. Przy dokładnych oględzinach znaleziono ślady krwi na gzymsie. Widać było również kilka krwawych kropeł na podłodze sypialni. Za zasłoną w pokoju dziennym leżały na kupie wszystkie części ubrania pana St. Claira, brakowało tylko surduta. Buty, skarpetki, ka-

¹²Cannon Street Station — stacja kolejowa w Londynie. [przypis edytorski]

¹³nie miał kołnierzyka — dawniej bardzo popularne były kołnierzyki przypinane do koszuli. [przypis edytorski]

pelusz, zegarek — wszystko było na miejscu, ale nigdzie żadnej innej oznaki przemocy ani też innych śladów pana St. Claira. Zapewne został wyrzucony przez okno. Podejrzane plamy krwi na gzymsie zostawiały niewiele nadziei, że mógł się uratować wpław, tym bardziej że tragedia miała miejsce w szczycie przypiływu.

Teraz co do łotrów, którzy wydawali się zamieszani w sprawę. Malaj jest człowiekiem o mrocznej przeszłości. Skoro jednak, jak mówi pani St. Clair, w kilka sekund po pojawieniu się jej męża w oknie Malaj stał już u podnóża schodów, to trzeba uznać, że w zbrodni mógł odegrać co najwyżej rolę poboczną. Jego obrona polegała na upartym powtarzaniu, że o niczym nie wie. Zastrzegł się, że nie ma pojęcia o poczynaniach swojego lokatora, Hugona Boone'a, i oświadczył, że nie potrafi wyjaśnić, skąd się wzięło w pokoju ubranie zaginionego mężczyzny.

Tyle o gospodarzu. A teraz pomówmy o ponurym kalece, który mieszka na piętrze tej nory opiumistów. Był zapewne ostatnią istotą ludzką, jaką widziało oko Neville'a St. Claira. Nazywa się Hugo Boone. Każdy, kto często bywa w City¹⁴, zna jego odrażająco brzydką twarz. Jest to zawodowy żebrak, ale aby uniknąć kłopotów ze ścigającą żebractwo policją, udaje, że prowadzi drobny handel woskowymi zapalkami¹⁵. Jak zapewne zauważyłeś, kawałek drogi wzdłuż Threadneedle Street¹⁶, po lewej stronie, znajduje się wnęk. Hultaj zasiada codziennie w tym kącie ze skrzyżowanymi nogami i rozkłada swój towar na kolanach. Jego wygląd jest tak godny politowania, że w zatłuszczonej czapkę, leżącą tuż przy nim na bruku, spada rześisty deszcz miłosierdzia. Zanim jeszcze przeczuałem, że kiedyś zaznam się z nim z powodów zawodowych, wiele razy obserwowałem go z daleka i byłem zdumiony, widząc, jak obfite żniwo zbierał w bardzo krótkim czasie. Jego wygląd jest tak uderzający, że niepodobna go nie zauważyć. Strzecha gęstych, rudych włosów, blada twarz, oszpecona straszliwą blizną, która zarastając, uniosła mu w górę jeden kąt ust, szczęki buldoga, para przeszywających ciemnych oczu, tworzących osobliwy kontrast z barwą włosów — wszystko to wyróżnia go z tłumu zwykłych żebraków. Od różnia go też jego dowcip. Zawsze ma gotową odpowiedź na złośliwy żart, rzucony pod jego adresem przez przechodnia. To właśnie ten lokator palarni opium, człowiek, który zapewne ostatni widział poszukiwanego przez nas St. Claira.

— Ależ to kaleka! — rzuciłem. — Cóż on sam jeden mógł zrobić mężczyźnie w pełni sił?

— To kaleka o tyle, że musi chodzić o kuli, lecz mimo to wydaje się silny i dobrze odżywiony. Z pewnością twoje lekarskie doświadczenie nauczyło cię, Watsonie, że słabość jednej kończyny często jest rekompensowana większą siłą drugiej.

— Masz słuszość. Proszę, opowiadaj dalej.

— Pani St. Clair zemdląła na widok krwawych plam na oknie i jeden z policjantów odwiózł ją do domu, gdyż dalsza jej obecność podczas śledztwa była już zbędna. Inspektor Barton, któremu wypadło prowadzić dochodzenie, zbadał wszystko jak najstaranniej, ale nie znalazł niczego, co mogłoby choć trochę rozjaśnić sprawę. Popelniono jednak błąd, że nie aresztowano Boone'a natychmiast, lecz zostawiono go przez kilka minut na wolności, przez co mógł porozumieć się z Malajem. Błąd ten szybko naprawiono: Boone'a schwytano i przeszukano, ale nie znaleziono przy nim niczego obciążającego. Wprawdzie na prawym rękawie koszuli miał kilka krwawych plam, ale pokazał policji palec ze skaleczeniem przy paznokciu, wyjaśnił, że plamy pochodzą właśnie stąd, i dodał, że niedawno był przy oknie i zapewne zostawił na nim ślady krwi. Bardzo stanowczo zaprzeczył, żeby kiedykolwiek widział pana St. Claira, i zapewniał, że to, w jaki sposób ubranie zaginionego znalazło się w pokoju, jest dla niego równie zagadkowe, jak dla policji. Co do zeznania pani St. Clair, że widziała swojego męża w oknie tego pokoju, stwierdził, że musiała to sobie uroić albo po prostu jej się przyśniło. Pomimo jego głośniejszych protestów odprowadzono go na posterunek. Inspektor pozostał na miejscu w nadziei, że nadejście odpływu dostarczy może jakichś nowych poszlak.

¹⁴City — tu: *City of London*, historyczny rdzeń Londynu, stare centrum, w którym skupia się większość działalności handlowo-financej. [przypis edytorski]

¹⁵woskowe zapalki — dawny rodzaj zapalek, wynalezionych w Anglii w 1832, składających się z woskowego trzonka i pokrytej fosforem główki. [przypis edytorski]

¹⁶Threadneedle Street — ulica w centrum Londynu (City), przy której znajduje się m.in. Bank of England, a do końca XX w. miała również siedzibę londyńska giełda. [przypis edytorski]

Przewidywania były trafne, chociaż w mule nie znaleziono tego, czego się obawiano. Kiedy woda opadła, odsłoniła nie ciało Neville'a St. Clair, lecz jego surdut. I jak myślisz, co było w kieszeniach surduta?

— Nie mam pojęcia.

— Ba, nigdy byś nie odgadł. Każda kieszeń napełniona była drobnymi monetami: łącznie 421 jednopensówek i 270 półpensówek¹⁷. Nic dziwnego, że odpływ nie zabrał ze sobą surduta. Ale ciało ludzkie to inna sprawa. Między nabrzeżem a domem prąd jest tak silny, że obciążony surdut mógł pozostać na dnie, podczas gdy nagie ciało fala odpływu uniosła do rzeki.

— Jeśli się nie mylę, resztę ubrania znaleziono w pokoju. Czyżby ciało było ubrane w sam tylko surdut?

— Nie, ale da się to jakoś wytłumaczyć. Przypuśćmy, że Boone wyrzucił pana St. Clair z okna tak, że tego żadne ludzkie oko nie widziało. Co by wtedy przede wszystkim uczynił? Oczywiście, musiałby się pozbyć jego charakterystycznego ubrania. Chwycił więc za surdut. Gdy miał go wyrzucić, przyszło mu na myśl, że nie zatonie, lecz będzie unosić się na wodzie. Nie było czasu do stracenia, bo z dołu słychać już było głos pani St. Clair, usiłującej wdrzeć się na schody. Może jego współnik, gospodarz, dał mu znak, że już nadchodzi policja. Nie było chwili do stracenia. Spieszy więc do ciemnego kąta, gdzie składał plon swej żebraniny, i napycha kieszenie surduta miedziakami, ile ich miał pod ręką, aby go zatopić. Szybko wyrzuca go za okno. Zrobiłby to samo i z innymi częściami garderoby, lecz niestety zbliżają się kroki. Pozostało mu tylko tyle czasu, by zamknąć okno.

— Tak, to brzmi dość prawdopodobnie.

— Na razie musimy się oprzeć na tych przypuszczeniach, zanim się nie znajdzie coś lepszego. Boone, jak już opowiedziałem, został aresztowany i odprowadzony na posterunek. W przeszłości nie udowodniono mu niczego, co by go mogło obciążać. Wprawdzie przez lata był znany jako zawodowy żebrak, ale poza tym, jak się zdaje, pędził życie spokojne i nienaganne. Tak sprawa wygląda obecnie. Należy jeszcze rozwiązać kilka kwestii, a mianowicie: Co robił St. Clair w palarni opium? Co się z nim stało? Gdzie się obecnie znajduje? Jaki udział w tym wszystkim miał Hugo Boone? Wszystkie te zagadki są równie odległe od rozwiązania jak na początku. Nigdy mi się nie zdarzył wypadek tak prosty na pozór, a w istocie najeżony tyloma trudnościami.

Podczas gdy Holmes opowiadał mi szczegóły tej zagadkowej i zawiłanej sprawy, minęliśmy ostatnie domy przedmieścia. Teraz z obu stron mieliśmy zielone żywopłoty. Właśnie kiedy kończył swe opowiadanie, przejechaliśmy przez dwie rozproszone wioski, gdzie w niektórych oknach błyskało światło.

— Teraz — rzekł Holmes — zbliżamy się do Lee. W naszej krótkiej podróży zaczęliśmy o trzy hrabstwa. Ruszyliśmy w drogę w Middlesex, przejechaliśmy przez cypel Surrey, a skończyliśmy w Kent. Czy widzisz to światło, migające między drzewami? To właśnie dom „Pod Cedrami”. Tam przy lampie siedzi kobieta, której niespokojne ucho bez wątpienia dosłyszało już tętent kopyt naszego konia.

— Ale dlaczego — zapytałem — nie zajmujesz się tą sprawą na Baker Street?

— Ponieważ tu właśnie mam do zebrania różne wiadomości. Pani St. Clair uprzejmie oddała mi do dyspozycji dwa pokoje. Przekonasz się, że i ciebie, jako mego kolegę i przyjaciela, powita bardzo przyjaźnie. Bardzo mi przykro, Watsonie, że nie przywożę jej wiadomości o mężu. Otóż jesteśmy na miejscu! Hola, hej!

Zatrzymaliśmy się przed wielką willą otoczoną ogrodem. Przybiegł chłopiec stajenny i zabrał konia. Wysiedliśmy i po krętej, wąskiej, żwirowanej ścieżce poszliśmy do domu. Kiedy się zbliżaliśmy, otworzyły się drzwi i na progu stanęła drobna blondynka. Ubrana była w lekką jedwabną suknię, ozdobioną koronkami przy szyi i na rękawach. Jej sylwetka rysowała się wyraźnie w powodzi światła płynącego przez drzwi. Stała, lekko pochylona naprzód, z jedną ręką na klamce, a drugą wzniesioną, jakby z tęsknoty i niecierpliwości. Patrzyła na nas z półotwartymi ustami i wyrazem oczekiwania w oczach. Wyglądała jak żywy znak zapytania.

¹⁷półpensówka, ang. *halfpenny* — dawna drobna, miedziana moneta brytyjska; funt dzielił się na 20 szylingów po 12 pensów każdy, półpensówka była więc warta 1/480 funta. [przypis edytorski]

— I jak tam? — zawołała.

Kiedy dostrzegła, że jest nas dwóch, wydała okrzyk nadziei, który zamarł w westchnieniu, kiedy mój towarzysz pokręcił głową i wzruszył ramionami.

— Nie ma dobrych wiadomości?

— Żadnych.

— Ale nie ma i złych?

— Nie.

— Dzięki Bogu. Niechże pan wejdzie, proszę. Musi pan być zmęczony po całym dniu.

— Przedstawiam pani swego przyjaciela, doktora Watsona. Był mi niezwykle pomocny w różnych moich śledztwach. Szczęśliwy traf sprawił, że mogłem go tu przywieźć i wtajemniczyć w naszą sprawę.

— Cieszę się, że mogę pana poznać — rzekła pani St. Clair i serdecznie uściśliła mi rękę. — Proszę wybaczyć, jeśli nasza gościnność pozostawi coś do życzenia, wie pan jednak, jaki cios spadł na nas niespodziewanie.

— Jestem starym żołnierzem, łaskawa pani, a gdybym nawet nie był, rozumie się, że nie potrzebuje się pani usprawiedliwiać. Będę się uważał za szczęśliwego, jeśli będę mógł być potrzebny pani lub memu przyjacielowi.

— Panie Holmes — zaczęła dama, kiedy weszliśmy do jasno oświetlonej jadalni, gdzie czekała na nas zimna przekąska — czy mogę pana zapytać o coś otwarcie i czy zechce mi pan równie wprost odpowiedzieć?

— Z pewnością, łaskawa pani.

— Niech się pan nie przejmuję moimi uczuciami. Nie jestem ani histeryczką, ani też nie mdleję za łada drobnostką. Chodzi mi tylko o to, aby usłyszeć pańską szczerą opinię.

— W jakiej kwestii?

— Czy w głębi duszy sądzi pan, że Neville jeszcze żyje?

Pytanie to, jak się zdawało, zakłopotало Holmesa.

— Ale tak wprost! — powtórzyła pani St. Clair.

Holmes siedział na fotelu, a ona stanęła przed nim i patrzyła badawczo.

— Jeśli mam szczerze odpowiedzieć — rzekł — to sądzę, że nie.

— Więc pan sądzi, że nie żyje?

— Tak mi się zdaje.

— Zamordowany?

— Tego nie twierdzę. Być może.

— A którego dnia zginął?

— W poniedziałek.

— To może będzie pan tak dobry, panie Holmes, i wytłumaczy mi, jak to się stało, że dziś otrzymałam od niego list.

Holmes zerwał się z miejsca jak rażony prądem.

— Co?! — zawołał. — List?

— Tak, dzisiaj.

Stała przed nim uśmiechnięta, trzymając w wyciągniętej ręce kartkę papieru.

— Czy mogę to przeczytać?

— Oczywiście.

Wyrwał jej z ręki list, położył na stole, wygładził, przysunął lampę i uważnie go obejrzał. Wstałem i ja, spoglądając mu przez ramię. Koperta była z grubego papieru, miała stempel pocztowy z Gravesend¹⁸ z dzisiejszą datą, a właściwie wczorajszą, bo już było dobrze po północy.

— Niewprawne pismo — mruknął Holmes. — To z pewnością nie jest pismo pani męża?

— Nie, ale sam list jest od niego.

— Widać też, że ten, kto adresował kopertę, musiał dopytywać się o adres.

— Z czego pan to wnosi?

— Nazwisko jest, jak pani widzi, zupełnie czarne, ponieważ atrament sam wysychł. Przeciwnie reszta: jest szarawa — dowód, że osuszono ją bibułą. Gdyby wszystko pisano

¹⁸Gravesend — miasto w hrabstwie Kent w Anglii, na pld. brzegu Tamizy, ok. 35 km na wsch. od centrum Londynu; strategiczny punkt kontroli ruchu na Tamizie. [przypis edytorski]

od jednego razu i osuszono bibułą, to nic nie miałyby tego głębokiego czarnego odcienia. Piszący napisał najpierw nazwisko, potem nastąpiła pauza, zanim uzupełnił wszystko adresem, co dowodzi, że go nie znał. Wprawdzie to drobnostka, ale nic nie jest ważniejsze od drobnostek. A teraz przyjrzyjmy się listowi. Aha, coś tu było w środku.

— Tak, jego sygnet.

— A czy jest pani pewna, że to pismo męża?

— Tak, to jeden z rodzajów jego pisma.

— Jeden?

— Jego pismo, kiedy się spieszy. Zupełnie nie przypomina zwykłego, ale znam je dobrze.

List zawierał te słowa:

Najdroższa, nie obawiaj się. Wszystko będzie dobrze. Zaszła wielka pomyłka, ale niedługo się wyjaśni. Bądź cierpliwa. Neville

— Napisany ołówkiem na pustej kartce z książki formatu ósemkowego¹⁹, bez znaku wodnego. Hm! List nadany dziś w Gravesend przez człowieka z brudnym kciukiem! Ha! I jeśli się nie mylę, kopertę zaklejał ktoś, kto żuje tytoń. Czy nie ma pani najmniejszej wątpliwości, że to pismo pani męża?

— Najmniejszej. Pisał to Neville.

— I dziś list ten został nadany w Gravesend. Cóż, chmury zaczynają się rozjaśniać, chociaż nie można powiedzieć, że niebezpieczeństwo już minęło.

— Ale przecież on żyje, panie Holmes.

— Chyba, że to chytry podstęp, aby nas zwabić na fałszywe tropy. Sygnet nic nie znaczy, mogli mu go odebrać.

— Nie, nie, to jego pismo.

— To prawda. Jednak list mógł być napisany w poniedziałek, a nadany dopiero dziś.

— To możliwe.

— A jeśli tak, to tymczasem mogło się coś zdarzyć.

— Ach, panie Holmes, niech mi pan nie odbiera otuchy. Wiem, że na pewno jest dobrze. Zachodzi między nami tak ściśle pokrewieństwo dusz, że musiałabym przeczuć, gdyby groziło mu nieszczęście. Właśnie tego dnia, kiedy widziałam go po raz ostatni, zaciął się w palec, a był wtedy w sypialni. Ja byłam wówczas w jadalni, a jednak natychmiast pobiegłam do niego, całkiem pewna, że coś mu się przytrafiło. Czy pan sądzi, że nie wiedziałabym o jego śmierci, skoro odczuwam taką drobnostkę?

— Zbyt wiele przeżyłam, ażeby nie wiedzieć, że uczucie kobiety jest często więcej warte niż logiczne wnioski chłodnego rozumu. Ten list to bez wątpienia poważna przesłanka, że ma pani rację. Ale jeśli mąż pani żyje, a nawet może pisać listy, to czemu trzyma się z daleka?

— Tego nie umiem wytłumaczyć. Jest to dla mnie rzecz niepojęta.

— A w poniedziałek o niczym nie wspominał, kiedy wychodził?

— Nie.

— I była pani zdziwiona, ujrawszy go na Swandam Lane?

— Nadzwyczajnie.

— Czy okno było otwarte?

— Tak.

— A więc mógł panią zawołać?

— Tak.

— Jednak, o ile pamiętam, wydał tylko jakiś nieartykułowany okrzyk?

— Tak.

— Który pani wzięła za wołanie o pomoc.

— Tak. Przy tym podniósł ręce.

— Mógł to być również okrzyk zaskoczenia. Może to niespodziewany widok pani sprawił, że podniósł ręce.

— I to być może.

Kobieta, Rozum, Uczucie

¹⁹format ósemkowy, łac. *in octavo* — dawny format książki wielkości 1/8 arkusza papieru; obecnie określenie książek mających typowy współczesny rozmiar: ok. 20–25 cm wysokości. [przypis edytorski]

- Czy pani się zdawało, że ktoś go odciągnął od okna?
- Zniknął tak nagle.
- Mógł sam odskoczyć. Nie widziała pani nikogo więcej w pokoju?
- Nie, ale ten okropny człowiek przyznał, że tam był, a Malaj stał na schodach.
- Dobrze. Czy mąż pani, o ile mogła pani zauważyć, był ubrany jak zwykle?
- Tak, ale bez kołnierzyka i krawata. Widziałam wyraźnie jego gołą szyję.
- Czy mówił kiedykolwiek o Swandam Lane?
- Nigdy.
- Czy zauważyła pani kiedykolwiek, żeby używał opium?
- Nigdy.
- Dziękuję pani uprzejmie. To główne punkty, co do których chciałem się upewnić.

Proszę pozwolić, że zjemy teraz małą kolację i udamy się na spoczynek, bo jutro czeka nas pracowity dzień.

Przygotowano dla nas duży, przyjemny pokój. Wkrótce leżałem w łóżku, bo byłem zmęczony nocą pełną przygód. Przeciwnie Holmes, pracować mógł całe dnie, a nawet tygodnie bez odpoczynku, jeśli zajmował go nierozwiązany problem. Oświeślał sprawę z różnych stron, obracał i tak, i owak, niezmordowanie szeregował materiał dowodowy, aż wreszcie znajdował rozwiązanie lub dochodził do przekonania, że dowody są niedostateczne. Widziałem, że i dziś przygotowuje się do takiego siedzenia w nocy. Zdjąwszy surdut i kamizelkę, zawinął się w swój obszerny, niebieski szlafrok i obchodził pokój, gromadząc poduszki, które pozbierał z łóżka, sofy i foteli. Zrobił sobie z nich rodzaj orientального posłania, na którym siadł ze skrzyżowanymi nogami, położywszy przed sobą paczkę tytoniu i zapalki. Widziałem go, jak siedział przy słabym świetle lampy ze starą fajką z drzewa wiśniowego w ustach. Oczy utkwiał w kącie sufitu, otoczył się błękitnymi kłębami dymu i milczał, siedząc nieruchomo, z twarzą poważnie ściągniętą i zamyśloną. Tak siedział, kiedy zapadałem w sen, i tak siedział jeszcze, kiedy obudził mnie okrzyk i słońce już jaśniało w naszym pokoju. Jeszcze fajka tkwiła mu w ustach, jeszcze dym kłębił się wokoło i cały pokój pełen był tytoniowej woni. Ale z paczki tytoniu, którą widziałem w nocy, nie pozostało już nic.

— Obudziłeś się, Watsonie? — zapytał.

— Tak.

— Jesteś gotów do porannej przejażdżki?

— Naturalnie.

— A więc się ubieraj. Nikt jeszcze nie wstał, ale wiem, gdzie śpi chłopiec stajenny i zaraz możemy dostać powozik.

Uśmiechnął się przy tym, a oczy jego zabłysły. Cała jego postawa zmieniła się całkowicie. Nie był to już ponury myśliciel z ubiegłej nocy. Ubierając się, spojrzałem na zegarek. Nic dziwnego, że nikt jeszcze nie wstał. Było dopiero dwadzieścia pięć po czwartej. Zaledwie się ubrałem, wrócił Holmes i oznajmił, że chłopak już zaprzęga.

— Muszę teraz wypróbować jedną z moich teorii — mówił, wkładając buty. — Watsonie, jak mi się zdaje, stoi przed tobą największy osioł w Europie. Zastługuję na takie kopnięcie, żebym stąd zaleciał do Charing Cross²⁰. Ale zdaje mi się, że wreszcie znalazłem klucz do tej historii.

— A gdzie on jest? — zapytałem, śmiejąc się.

— W łazience — odparł. — Tak, nie żartuję — ciągnął, widząc wyraz niedowierzania na mojej twarzy. — Dopiero co byłem tam i mam go tutaj, w tej skórzanej torbie. A teraz naprzód, mój drogi, zobaczmy, czy będzie pasował do zamka.

Wymknęliśmy się jak najciszej, zeszliśmy po schodach i stanęliśmy w jasnym słońcu poranka. Na ścieżce stał nasz powozik. Półubrany chłopiec trzymał konia. Wsiedliśmy szybko i wkrótce byliśmy na drodze do Londynu. Wprawdzie wiejskie wozy, wiozące do stolicy jarzyny, czyniły nieco hałasu, lecz liczne domy po obu stronach drogi stały cicho i bez życia jak pogrążone we śnie miasto.

— Ten wypadek jest pod pewnym względem wyjątkowy — rzekł Holmes, popędzając konia. — Przyznaję, byłem ślepy jak kret, ale lepiej przejrzeć późno niż nigdy.

²⁰*Charing Cross* — nazwa skrzyżowania oraz otaczającego je placu w centrum Londynu, zwyczajowo uznanego za geograficzny środek miasta; także nazwa pobliskiej stacji kolejowej. [przypis edytorski]

W mieście ujrzeliśmy kilku pierwszych rannych ptaszków, wyglądających sennie przez okna, kiedy jechaliśmy ulicami Surrey. Przejeżdżając przez Waterloo Bridge Road²¹, przekroczyliśmy rzekę, następnie popędziliśmy przez Wellington Street, skręciliśmy na prawo i dotarliśmy do Bow Street. Holmes był doskonale znany policji, toteż dwaj posterunkowi przy drzwiach zasalutowali mu. Jeden przytrzymał konia za uzdę, a drugi wprowadził nas do środka.

— Kto pełni służbę? — zapytał Holmes.

— Inspektor Bradstreet.

— Aha, dzień dobry, Bradstreet, jak się pan miewa?

Wysoki, okazały urzędnik w urzędowej czapce i mundurze szedł ku nam po wyłożonym kamiennymi płytami korytarzu.

— Czy mogę zamienić z panem kilka słów, panie Bradstreet?

— Oczywiście, panie Holmes. Przejdźmy do mojego pokoju.

Był to mały pokój, wyglądający jak biuro. Na stole leżała wielka księga, a na ścianie wisiał telefon. Inspektor zasiadł przy biurku.

— Czym mogę panu służyć, panie Holmes?

— Przychodzę w sprawie tego żebraka, Boone'a, wie pan, tego człowieka podejrzanego o udział w zniknięciu pana Neville'a St. Claira z Lee.

— Tak, został aresztowany i będzie jeszcze przesłuchiwany.

— Tak, słyszałem. Czy macie go tutaj?

— Tak, w celi.

— Zachowuje się spokojnie?

— Tak, nie mamy z nim kłopotu, tylko to okropny brudas.

— Brudas?

— Ba. Ledwo zdołaliśmy go namówić, żeby umył ręce. Twarz ma czarną jak kotlarz. Jak tylko sprawa zostanie zakończona, będzie musiał się poddać obowiązkowej kąpieli więziennej, a niech mi pan wierzy, że gdyby go pan zobaczył, zgodziłby się pan ze mną, iż bardzo tego potrzebuje.

— Bardzo chciałbym go zobaczyć.

— Doprawdy? Nic prostszego. Proszę za mną. Torbę może pan tu zostawić.

— Nie, dziękuję, wezmę ją ze sobą.

— Dobrze. Proszę, tedy!

Poprowadził nas krótkim przejściem, otworzył zaryglowane drzwi, szedł krętymi schodami, aż wreszcie znaleźliśmy się w białym otynkowanym korytarzu, po którego obu stronach ciągnęły się rzędy drzwi.

— Trzecie drzwi po prawej — rzekł Bradstreet. — Tutaj!

Po cichu odsunął zasuwkę i spojrzał przez otwór w drzwiach.

— Śpi — rzekł. — Teraz możecie mu się panowie przyjrzeć.

Zbliżyliśmy się obaj i spojrzeliśmy przez kratę. Więzień miał twarz zwróconą ku nam. Spał głęboko, oddychając ciężko i powoli. Był to mężczyzna średniego wzrostu, ubrany nędznie, jak tego wymaga zawód żebraka; przez dziury w podartym surducie wyglądała pstra koszula. Inspektor miał słuszość, mówiąc, że więzień jest nadzwyczaj brudny, ale nawet gruba warstwa brudu pokrywająca twarz nie mogła ukryć jego odrażającej brzydoty. Stara blizna biegła szeroką pręgą od oka do brody. Przy gojeniu się podniosła górną wargę tak, że trzy zęby były odsłonięte, co czyniło wrażenie, jakby nieustannie wykrzywił twarz w szyderczym uśmiechu. Gęsta strzecha rudych włosów spadała mu nisko na czoło i oczy.

— Czy to nie prawdziwy Adonis²²? — zadrwił inspektor.

— Z pewnością potrzebuje umycia — zauważył Holmes. — Ponieważ tego się spodziewałem, pozwoliłem sobie zabrać ze sobą potrzebne do tego rzeczy.

To mówiąc, otworzył swą torbę i ku mojemu ogromnemu zdziwieniu wyjął z niej dużą gąbkę.

— Ha, ha! — zaśmiał się inspektor. — Zabawny z pana człowiek!

²¹ *Waterloo Bridge Road* — dawna nazwa odcinka drogowego obejmującego londyński most Waterloo (Waterloo Bridge) oraz prowadzącą do niego od południa ulicę Waterloo Street. [przypis edytorski]

²² *Adonis* (mit. gr.) — piękny młodzieniec, ulubieniec Afrodyty, bogini miłości. [przypis edytorski]

— Niech pan tymczasem będzie łaskaw otworzyć ostrożnie te drzwi, a potem umyję więźnia, żeby miał przyzwoitszy wygląd.

— No, to nie zaszkodzi — rzekł inspektor. — Nie przynosi on chluby aresztowi na Bow Street.

Przekręcił klucz w zamku i weszliśmy do celi. Śpiący odwrócił się nieco, ale po chwili zapadł znów w głęboki sen. Holmes podszedł do dzbanka z wodą, zwilżył gąbkę i dwa razy przetarł nią mocno twarz więźnia.

— Panowie — zawołał Holmes — pozwólcie sobie przedstawić pana Neville'a St. Claira z Lee w hrabstwie Kent!

Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Twarz mężczyzny złuszczyła się pod gąbką jak drzewo z kory. Zniknęła paskudna bura barwa! Znikła okropna blizna i wykrzywiona górna warga, która nadawała twarzy odrażający, złośliwy wyraz! Jedno mocne szarpnięcie i — nie było już rozwichrzonych rudych włosów.

Siedział przed nami na łóżku blady, smutny, przyzwoicie wyglądający mężczyzna, o czarnych włosach i delikatnej cerze. Przecierał oczy i zaspany rozglądał się wokół. Nagle oprzytomniał i musiał uświadomić sobie swoje położenie, bo z głośnym okrzykiem schował twarz w poduszkę.

— Wielki Boże! — zawołał inspektor. — Ależ to rzeczywiście zaginiony! Poznaję go z fotografii.

Więzień zwrócił się do nas ze spokojem człowieka, który oddaje się w ręce losu.

— Tak jest — rzekł. — A teraz proszę mi powiedzieć, o co jestem oskarżany?

— O zabójstwo pana Neville'a St. Clai... — rzekł inspektor, śmiejąc się — Och, już nie można pana o to oskarżyć, chyba żeby sąd wniósł przeciw panu skargę o usiłowanie samobójstwa. Służę w policji od dwudziestu siedmiu lat, a nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się nic podobnego.

— Skoro jestem Neville'em St. Clair, to oczywiście, że nie popełniłem żadnego przestępstwa, a więc zatrzymujecie mnie tu panowie bezprawnie.

— Tak, nie popełnił pan żadnego przestępstwa — rzekł Holmes — ale popełnił wielki błąd. Lepiej by pan zrobił, gdyby zaufał pan swojej żonie.

— Nie robiłem tego dla mojej żony, ale dla moich dzieci — jęknął więzień. — Teraz będą się wstydzić swego ojca!... Boże, co za hańba! Co ja mam robić?!

Holmes siadł przy nim na łóżku i przyjaźnie położył mu rękę na ramieniu.

— Jeżeli sprawa trafi do sądu, to oczywiście trudno będzie uniknąć rozgłosu. Jeżeli jednak dowiedzie pan przed policją, że nie ma podstaw do oskarżania pana o cokolwiek, to sądzę, że prasa o niczym się nie dowie. Inspektor Bradstreet gotów jest zapisać wszystko, co nam pan zechce powiedzieć, i przekazać pańskie zeznanie odpowiednim władzom. W ten sposób może się uda uniknąć jawności i sądu.

— Niech panu Bóg błogosławi! — zawołał więzień namiętnie. — Wolalbym więzienie, nawet egzekucję, niż zdradzić swą nędną tajemnicę i sprowadzić hańbę na moje dzieci.

Panom pierwszym opowiem swoją historię. Ojciec mój był nauczycielem w Chesterfield²³. Otrzymałem staranne wychowanie. W młodości podróżowałem, występowałem na scenie, wreszcie zostałem reporterem wieczornej gazety w Londynie. Pewnego dnia redaktor poprosił o serię artykułów o żebractwie w mieście. Zobowiązałem się je dostarczyć. To było źródłem wszelkich moich późniejszych przygód. Aby zgromadzić materiał do artykułów, spróbowałem sam zająć się żebranią. Jako dawny aktor byłem, rzecz jasna, wtajemniczony we wszelkie sekrety przebierania się, tym bardziej że w swoim czasie słynąłem z tej sztuki. Teraz ta biegłość bardzo mi się przydała. Pomalowałem sobie twarz i aby się uczynić bardziej godnym współczucia, namalowałem sobie straszną szramę i podciągnąłem w górę górną wargę za pomocą wąskiego paska przyklepnego plastra cielistej barwy. Założyłem rudą perukę, przebrałem się w lachmany i usadowiłem się w najbardziej ożywionej części miasta, pozornie jako sprzedawca zapalek, a w rzeczywistości jako żebrak. Siedem godzin trudniłem się swoim fachem, a kiedy wieczorem wróciłem do domu, przekonałem się ze zdumieniem, że zebrałem aż dwadzieścia sześć szylingów i cztery pensy.

²³ *Chesterfield* — miasto w hrabstwie Derbyshire w Anglii. [przypis edytorski]

Napisałem artykuły i nie myślałem o tym więcej, lecz jakiś czas potem poręczyłem wksel znajomemu i dostałem nakaz zapłaty na dwadzieścia pięć funtów. Nie wiedziałem, skąd wziąć pieniądze. Nagle przyszła mi do głowy zbawienna myśl! Uprosiłem u wierzyciela dwutygodniową prolongatę, wziąłem urlop w pracy i spędziłem go, żebrząc w mieście pod przebraniem. W dziesięć dni zebrałem pieniądze i spłaciłem dług.

Możecie sobie panowie wyobrazić, jak trudno mi było zabrać się do ciężkiej pracy za dwa funty tygodniowo, kiedy wiedziałem, że wystarczy tylko trochę szminki, bezczynnego siedzenia i nadstawiania czapki, aby w jeden dzień zebrać taką kwotę! Moja duma długo walczyła z chciwością. Wreszcie chciwość zwyciężyła. Zawiesiłem na kołku pracę dziennikarską, siadywałem codziennie w upatrzonym kącie, budziłem żalosnym wyglądem litość i nabijałem kieszenie miedziakami. Tylko jeden człowiek znał moją tajemnicę. Był nim właściciel nędznej nory przy Swandam Lane. Zachodziłem tam codziennie, wychodziłem jako brudny żebrak, a wieczorem znów przeistaczałem się w zamożnego obywatela. Jest to osiadły tu Malaj. Płaciłem mu dobrze za pokój i byłem pewny, że mnie nie zdradzi.

Okazało się wkrótce, że zbieram bardzo okazałe sumy. Sądzę, że każdy żebrak w Londynie może zebrać siedemset funtów rocznie — a jest to mniej, niż wynosił mój przeciętny plon — ale miałem wyjątkową przewagę. Potrafiłem się znakomicie charakteryzować, miałem zawsze gotową dowcipną odpowiedź i nabrałem w tym takiej wprawy, że w końcu stałem się postacią znaną całemu miastu. Cały dzień leciały mi do czapki miedziaki, niekiedy moneta srebrna, i marny to był połów, jeśli zebrałem kiedyś mniej niż dwa funty.

W miarę jak stawałem się coraz bogatszy, moja chciwość rosła. Wynająłem dom na wsi, ożeniłem się i nikt nie podejrzewał, czym się właściwie zajmuję. Moja kochana żona wiedziała tylko, że mam jakieś interesy w mieście. Ale nie domyślała się, czym byłem zajęty.

W zeszły poniedziałek skończyłem właśnie swą dzienną żebraninę i przebierałem się w pokoju nad palarnią opium, kiedy nagle ku swemu zdziwieniu i przerażeniu ujrzałem przez okno żonę. Stała na ulicy i patrzyła na mnie. Krzyknąłem ze zdumienia, podniosłem ręce, żeby zasłonić twarz, i pobiegłem do gospodarza, prosząc go, aby nikogo nie wpuszczał. Słyszałem jej głos na dole, ale wiedziałem, że nie uda jej się wejść. Szybko zdjąłem ubranie, włożyłem swoje żebracze łachmany, ucharakteryzowałem twarz i założyłem perukę. Nawet oko żony nie mogło mnie poznać w tym przebraniu. Ale wtedy wpadło mi na myśl, że pokój zostanie przeszukany i ubranie może mnie zdradzić. Szarpnięciem szybko otworzyłem okno i przy tym otworzyła mi się rana palca, skaleczonego tego samego dnia rano w sypialni. Złapałem surdut, obciążyłem go miedziakami z żebraniny i wyrzuciłem za okno, gdzie zniknął w Tamizie. Miałem zrobić to samo z resztą ubrania, ale w tym momencie usłyszałem na schodach kroki policjantów. W parę minut potem, ku swojej wielkiej uldze, zamiast zostać rozpoznany jako Neville St. Clair zostałem aresztowany jako jego domniemany morderca.

Dalsze wyjaśnienia są zbyteczne. Byłem zdecydowany jak najdłużej zachować swoje przebranie i stąd moja niechęć do mycia twarzy. Wiedziałem, że żona będzie się o mnie strasznie niepokoić, więc w chwili gdy policjant spuścił mnie z oka, zdjąłem z palca sygnet i oddałem go Malajowi wraz z naprędce napisaną kartką do żony, w której zawiadomiłem ją, żeby się nie martwiła.

— Tę kartkę pańska żona otrzymała dopiero wczoraj — rzekł Holmes.

— Wielki Boże! Co za straszny tydzień musiała przeżyć!

— Policja miała na oku gospodarza — rzekł inspektor — więc zdaje mi się, że było dla niego rzeczą dość trudną niepostrzeżenie oddać list na pocztę. Zapewne wręczył kartkę jakiemuś swojemu klientowi-marynarzowi, a ten mógł o niej zapomnieć i nosił ją w kieszeni kilka dni.

— Tak, tak — rzekł Holmes — bez wątpienia tak było. Ale czy pana nigdy nie ukarano za żebractwo?

— Dość często, ale co mi tam kara pieniężna?

— No, ale tym razem — rzekł Bradstreet — musi to się skończyć ostatecznie. Jeżeli pan chce, żeby policja milczała o całej tej historii, to Hugo Boone musi raz na zawsze zniknąć.

— Ja to już sobie, proszę pana, solennie przysięgam! Hugo Boone już nie istnieje!

— W takim razie myślę, że nie zostaną podjęte żadne dalsze kroki. Ale gdyby pa-
na jeszcze raz złapano na żebraniu, to wszystko wyjdzie na jaw. Panu, panie Holmes,
jesteśmy winni wielką wdzięczność za wyjaśnienie sprawy. Chciałbym wiedzieć, w jaki
sposób pan do tego doszedł?

— Usiadłem wygodnie na pięciu poduszkach i wypaliłem porządną porcję tytoniu.
No, Watsonie, wracamy na Baker Street. Zdążymy w sam raz na śniadanie!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod wa-
runkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o
prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach
licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim
udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/doyle-czlowiek-z-blizna/>

Tekst opracowany na podstawie: Arthur Conan Doyle, *Sherlock Holmes i jego przygody*, No 6. *Człowiek z blizną*,
wyd. Jan Fiszer, druk L. Biliński i W. Maślankiewicz, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego
funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Monika Kępska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7979-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wol-
ności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy
je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).